TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 36. Chicago, Ill., Czwartek, 8-go Września, 1898. Rok XII.

Bohaterka z nad Szreniawy.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW NASZYCH

— PRZEZ —

PAULINĘ KRAKOW.

(Ciąg dalszy.)

To próbował i poprawiał grube tarcice, by lekko zasuwały okna, skoro na jesień wicher zacznie się przez cienkie błony i pęcherze przeciskać, to obchodził ostrokoły otaczające podwórzec, wiązał łoziną, gdzie była sfolgowała, ubijał ziemię, gdzie się usunęła, chodził starannie około koni, bo na pachołków i parobków spuścić się z niczem nie było można; słowem był to zawołany *porządkowy;* żadnej szkodzie nie przepuścił, bo nawet i tratewkę umacniał i nowemi deskami obijał.

Stara klucznica, Swierczyna, żaliła się nieraz przed panią na nieposłuch i lenistwo dziewek, które miały jej w gospodarstwie pomagać. Nieraz Małgorzata dawała jej dobre rady, czasem i słowem swojem się wdawała w sprawę, ale na ostatnią skargę rzekła:

— Dajcie im wolę, moja Swierczyno! lato mamy, to i bez nich poradzimy sobie; my wam obie pomożem, a te lekkoduchy niech sobie idą zkąd przyszły. U nas cicho nudzi im się; niech w kmiecych chatach pobędą, zobaczycie, że przed jesienią wrócą pokornie na wasze dobre pieczywo.

Z pod lżejszej teraz ręki klucznicy wymykała się do reszty żeńska służba ze dworu; trzoda i konie wraz z doglądającymi jej ludźmi znajdowały się nieco opodal, ku po-

lom, osobnem ogrodzeniem zabezpieczone przed zwierzem leśnem, siostry miały więc ciszę i spokój zupełny i tylko przez troje sług swoich starych słyszały czasem co się w okolicy i we włości ich działo

Znowu była niedziela; pani Strzemieńczykowa z siostrą podług zwyczaju poszły do kościoła; kilka dawnych sług, kilkanaście starszych kmiecych niewiast stało i klęczało w Pańskiej świątyni; dziewczęta barwisto poubierane wchodziły pojedyńczo, jak pstre motyle przystanęły na chwilkę, pokręciły się, pooglądały się do koła i sprawiwszy tylko roztargnienie, a przeszkodziwszy tym, co się modlili, wybiegały za drzwi, by powrócić niezadługo. Zdawało się, że upatrywały czegoś ciekawego, lub biegały za kościół, by ze spostrzeżeń swoich zdać sprawę nieobecnym a blizkim.

Po Ewangelii sędziwy proboszcz szepnął coś chłopakowi, co mu do Mszy służył, ten wysunął się przez zakrystyą, a kapłan pochylony nad ołtarzem zatonął w cichej, głębokiej modlitwie. Pod ten czas od drzwi kościoła rozpoczęło się dzwonienie; cienkie ale donośne dźwięki rozlegały się wewnątrz nawy i po kościelnym cmentarzu, daleko, lubo może nie dość poważnie się odbijając. Od dawna nie dzwoniono w Gedeona, wielki dzwon wieżowy, bo z powodu niedokładnego urządzenia sznurów trzeba było kilku ludzi do jego obsługi, a chociaż dawniej w każdą niedzielę i święto młodzież miejscowa ubiegała się o pierwszeństwo w tej czynności i gospodarze jej chętnie pomagali, ale od jakiegoś czasu, gdy zabrakło modlących się to i dzwonić nie było komu. Przed pół rokiem zmarł wiekowy zakrystyan, co jeszcze poprzedniemu proboszczowi pomagał, o zastępcę po nim trudno było między ciemną i rozpuszczoną ludnością okoliczną, radził sobie więc ksiądz, posługując się młodym chłopcem, którego wychował i sam poduczył.

Stojący u ołtarza sługa boży przeżegnał się głośno i rzekł:

— Dziateczki! dawno was tu tylu nie widziałem; a kiedy dał Pan Bóg, żeście się zeszli, posłuchajcież z uszanowaniem słów pańskich i świętych sług Jego.

Chłopiec zdjął z ołtarza mszał i stanął z nim przy księdzu, zbliżyli się z pewnem uszanowaniem słuchacze, a kapłan, przerzuciwszy parę kart łacińskiej księgi, mówił po polsku:

"Najmilsi! miłujmy jedni drugich, gdyż miłość jest od Boga. Pamiętajcie na to przykazanie, aby ten kto kocha Boga, kochał braci swoich."

"Bracia! Nie dajcie się zwodzić, złe rozmowy psują dobre obyczaje. Ocućcie się, a nie grzeszcie, bo mówię to ku zawstydzeniu waszemu, że niektórzy z was nie mają znajomości bożej."

"Patrzcie bracia! abyście ostrożnie postępowali, nie jako nierozważni, ale jako mądrzy ludzie. Nie czyńcie nic porywczo, ale starajcie się zrozumieć, jaka jest wola Boga."

"Bracia! jeśliby który z was popadł w grzech, poprawiajcież go, na siebie samych bacząc, byście też nie upadli Niech każdy spraw swoich pilnuje; co człowiek zasieje, to żąć będzie."

"A teraz, powiadam wam, jakom już i przedtem powiadał, kto pełni złe uczynki, jak: bałwochwalstwo, czarowanie, nieprzyjaźni, swary, zawiści, niesnaski, zazdrości i tym podobne — powtarzam, ci którzy to czynią, nie dostąpią królestwa Bożego." Amen!

Skończywszy, kapłan zwrócił się ku ołtarzowi, poważnie i ze szczególnem przejęciem odprawiał dalej nabożeństwo, nie troszcząc się już o słuchaczy, a ci pozostając przez cały czas mowy proboszcza w skupieniu, powoli rozpraszać się zaczęli i gdy ksiądz z usługującym po skończonej ofierze udawali się do zakrystyi, już w kościele te tylko znajdowały się osoby, któreśmy przy początku wymienili.

Na samym ostatku wyszły Zembocińskie panie, bo chciały poczekać, by wpierw zebrana ludność rozeszła się do domów, ale skoro próg przestąpiły, ujrzały na cmentarzu prawie wszystkich dopiero widzianych, pozbieranych w gromadki i żywo rozmawiających.

— Trzeba pamiętać, co ksiądz mówił — mówili jedni.

— Mówił co chciał — prawili drudzy — a niech już będzie jak być miało.

Siostry powoli poszły dalszą drogą przez łąkę, zawsze w celu uniknięcia gromady, lecz zbliżając się ku domowi ujrzały tłum otaczający bramę wchodową. Halszka ujęła niespokojnie rękę siostry, lecz Małgorzata, ścisnąwszy ją przyspieszyła kroku i wyciągnąwszy naprzód ramie, jakby do zrobienia sobie miejsca, weszła śmiało pomiędzy zgromadzonych, którzy przed tą białą ręką rozstąpili się szeroko, lecz gdy kobiety podeszły ku bramie, ścisnęli się na nowo. Na samym progu stało pięciu czy sześciu poważnych kmieci, tuż przy nich poustawiali się inni w ten sposób, że zebranie tworzyło jednę całość, wśród której Małgorzata z siostrą znalazły się jakby w kole jakiem zamknięte. Przed niemi stał w milczeniu łańcuch z pojedynczych ludzi złożony, za niemi ledwie hamowanemi rozmowy szemrał kłąb ruchliwy niecierpliwiej ludności, lecz trzymał się w takiem oddaleniu, że obie siostry miały wszelką swobodę ruchów. Przystąpiwszy jak można było najbliżej, Małgorzata potoczyła wzrokiem po twarzach znajomych sobie i pochylających się przed nią głowach i zapytała:

— A co to znaczy, Stanku, Macieju, Wicie i ty Błażku, żeście się tak kupą zebrali i całą czerń za sobą przywiedli?

Wymienieni spojrzeli wzajemnie po sobie i po stojącej przed sobą gromadzie, zkąd im rękami i głosem dawano znaki zrozumiałe i Błażek, wystąpiwszy nieco przed innych, ciągnąc sobie włosy spadające z za ucha, rzekł:

— A to, pani, przyszliśmy tu, by wam to i owo powiedzieć.

— Dla czegoż w tyle ludzi i właśnie dziś? — pytała Małgorzata.

— Bo... bo... — jąkał Błażek — bo do was nie ma jak do innych przystępu, a trzeba nam się porozumieć!

— O cóż takiego? przecież nie macie krzywdy, a gdyby i była, to umieliście zawsze do mnie trafiać, jak wam czego było potrzeba?

— Jużci, jużci, — starał się Wit wyręczyć sąsiada — ale to nie o nas tylko bo i o was idzie...

— Dla tego zastąpiliście mi drogę do domu? — rzekła surowo Małgorzata. — Ustąpcie z progu, to moje miejsce, gadajcie co macie gadać, ztamtąd was słuchać będę.

— Stańku! Macieju! albo wy Pakoszu! mówcież teraz wyraźnie, czego chcecie ode mnie!

Trzej wyzwani wystąpili nieco naprzód, znać nie było im snadno wypowiedzieć, o co się z towarzyszami byli umówili, ci zaś naglili swoich wybrańców i zdawało się, że woleliby sami już stanąć w ich miejscu, niżeli oczekiwać długo.

— Widzicie, bo, pani nasza — rzekł nakoniec Pakosz, wskazując ręką na stojących po za sobą — oni to chcieli sami tu iść do was, ale to młode, pałkie, zrobiliby może więcej niż chcieli, a proboszcz oto mówił....

— Żeby jedni drugich przestrzegali — dokończył Maciej, widząc zakłopotanie mówcy.

— I żeby nie poczynać sobie nierozważnie — dopełnił milczący dotąd Stańko. — To my starzy wzięliśmy na swoję głowę, żeby wam spokojnie, jak należy, powiedzieć..

— No, powiedzcież już! — odezwała się Małgorzata, przecież tu stoję i słucham.

Nakoniec Błażek, napierany przez gromadę, wziął na odwagę i występując przed innych, uchylił nieco głowy i przemówił poważnie a zarazem prosząco.

— Pani miłościwa! zróbcie jak inne rycerskie niewiasty poczyniły!

— Cóż one to takiego poczyniły? — zapytała surowo żona Strzemieńczyka, ale krew uderzyła jej do głowy i oblała twarz jej gorącym rumieńcem oburzenia, bo domyślała się zniewagi, jaką jej wyrządzić chciano.

— I wy i siostra wasza młodeście obie — mówił Błażek śmielej, słysząc pochlebny szmer dokoła — szkoda młodych lat waszych.

Maciej dodał:

— Kobiece rządy na nic, nikt ich słuchać nie chce, zmarnieje do reszty dobytek...

— Jak mąż mój wróci, wszystko się naprawi — rzekła Małgorza, to nasza rzecz, a co wam do tego?

— Żaden już rycerz nie wróci — rzekł poważnie Pakosz, mój syn wrócił z obozu królewskiego...

— Uciekł! — syknęła Małgorzata.

— Uciekł — rzekł Pakosz — uciekł, bo tam naszemu nie ma już co robić. Król ucztuje w Kijowie, rycerze z nim, którzy jeszcze żyją i żenią się w gościnie.

— Cicho! — zawołała rycerska małżonka — to potwarz!

— To prawda! Nie ma co czekać — mówił białowłosy Stańko. — Nie chcecie zmarnieć, to wybierzcie sobie z gromady synów gospodarzy, kościół jeszcze otwarty, ksiądz da ślub i będziecie znów panować spokojnie, bo wszyscy za nimi staniemy!

Słowa te, silnym wymówione głosem, znalazły gwarny oddźwięk w całej gromadzie; podnoszący się dotąd szmer groźny zmienił się w hałas, nad którym górowały pojedyncze wykrzyki: młodzież poczęła się naprzód wysuwać, jakby w ślad za Stańka przemową chciała stawać do mniemanego wyboru, starzy, stojąc przed innymi ścieśnionem półkolem, byli już jedyną zaporą dla ludzkiej fali, pchającej się ku wrotom.

Za ich progiem stały dwie niewieście postacie: Halszka o wysmukłej i giętkiej postawie, cała w bieli, z długiemi warkoczami płowych włosów puszczonemi po ramionach; twarz jej świeża młodzieńczą krasą pobladła nieco, a fiołkowe oczy z niepewnością poglądały naprzemian, to na tłum bałwaniący się o parę kroków, to w twarz siostry, która jedną ręką kibić jej ujęła, jak gdyby dla dodania jej sercu odwagi:

Twarz Małgorzaty pałała oburzeniem. Ciemna szata spływała w fałdach po jej silnej i kształtnej postaci, obciśniętej srebrnym pasem; kruczy włos w pierścieniach wysuwał się z pod białego nagłowia, które mocne poruszenie rozrzuciło nieco na głowie tak, że lekki rąbek zdawał się chmurką lub obłoczkiem owiewającym młode, wyniośle namarszczone czoło; z pod czarnej brwi tryskały błyskawice pogardliwych spojrzeń, padających na kłębiące się tłumy.

— Kmieciowie i słudzy, żyjący na tej roli! Pamiętajcie, że jestem żoną Mikołaja Strzemieńczyka, pana na Zembocinie i że mu surowo odpowiecie za dzisiejsze zuchwalstwo!

Wymówiwszy to, zwróciła się żywo w dziedziniec, pociągnąwszy siostrę za sobą, a nim zdziwiona zgraja opatrzywszy się zdołała dopaść progu, już się za niemi wrotne zatrzasnęły podwoje i z łoskotu odbywającego się po za niemi wnieść było można, że niezwłocznie zasunięto belki i podparto je drągami. Napróżno więc stojący zewnątrz wybijali w nie z wrzaskiem bezbronnemi rękami, poznali wnet sami bezskuteczność swoich swoich usiłowań i pozbierawszy się w kółka, naradzając się i odgrażając zapartym wrotom, rozeszli się powoli. Jeden z najmłodszych, Gedko, syn Błażeja, który najżwawiej rzucił się do wrót, przycięty niemi został za sukmanę i wśród śmiechu rówienników zwlec ją z siebie musiał, by się z łapki oswobodzić.

W owych czasach każdy zamożniejszy człowiek stawiał dom swój mocno i obronnie; każdy, lubo chętnie ruszał na wojenną wyprawę i nie szczędził tam siły i zdrowia, cenił spokój domowy i pragnął bezpieczeństwa dla pozostawionej rodziny. Są ślady w dawnych wspomnieniach, że się przodkowie nasi zawsze kochali w pięknych zbrojach i orężu, wytworne szaty i futra kosztowne, czy to na sąsiedzkich wyprawach zdobyte, czy nabyte od znoszących je kupców, zapełniały komory i lamusy, w stajni pod ozdobnem pokryciem rżały dzielne rumaki, bo to było rycerskie upodobanie i królowie sami miewali ulubione swe konie bojowe. Znaną była biała klacz Bolesława, Orlica, pokryta wschodniemi, kosztownemi opony i jego Szwantewit, któremu król wróżebne przypisywał własności i z ruchów a usposobienia wyprowadzał pomyślne lub groźne na przyszłość następstwa. Napływały też do kraju z Niemiec i ze Wschodu srebrne i złote wyroby i tkaniny, trzeba więc było zabezpieczyć te skarby od ludzi złej woli, od miejscowych włóczęgów od niespodziewanego najścia chciwych sąsiadów, a w końcu i od napadu dzikiego zwierza, którem się wówczas roiły gęste lasy, zaledwie tknięte toporem na budownictwa potrzeby.

I Zembociński dwór nie był bezbronnym; położony na znacznem wywyższeniu i zbudowany starannie, składał się z kilku izb obszernych, z drobniejszych komór i zagłębień na dolnem piętrze, a w połowie dachu pokrytego mocnemi tarcicami wznosiła

się jeszcze jedna przestronna komora gmaszkiem zwana i mająca wygląd na cztery strony, by ułatwić mieszkańcom widok na okolicę w razie możliwego niebezpieczeństwa. W dziedzińcu, oprócz mocnego na kamiennych podwalinach lamusu, był śpichrz z kłód modrzewich układany, pańska stajenka na wyborowy dobytek i głęboka, starannie ocembrowana studnia, pełna czystej i zimnej wody. Wszystko to otaczał gęsty i niezbyt niski ostrokół, to jest zaciosane spiczasto po obu końcach koły dębowe, wbijane w rów żelaznemi młotami i przedstawiające zwartą, mocną i nieprzebytą zaporę.

Po zatrząśnięciu bramy przed burzliwą gromadą, która nieprzygotowana na ten wypadek, szemrząc i grożąc rozeszła się nakoniec, Małgorzata siadła na kamieniu przy drzwiach domu położonym, a uspokoiwszy się z przebytego wzruszenia, zwołała nielicznych swoich współmieszkańców, by się z nimi co do blizkiej przyszłości naradzić.

— Biernacie, jak myślisz? przyjdą oni tu jeszcze? — spytała.

— A jakże! To starzy tylko sprawili, że się na gadaniu skończyło; — rzekł Biernat — proboszcz ich ujął za serce, ale młodsi nad tem nie poprzestaną; znam ja ich, będą siły próbować!

— Przecież się im nie damy? — rzekła znów Strzemieńczykowa — ostrokół wysoki i silny...

— Zrobiło się co było można — rzekł Matys — gdyby się uparcie dobijali, zniesiśmy przecie na gmaszek kamieni dobrą kupę... można będzie niemi sypać...

— Małgosiu! — przemówiła Halszka nieśmiało — możeby jeszcze można do Grądów?

— Już za późno, siostro? Teraz mają nas na oku, już i ty nie możesz opuścić domu, bo za wrotami większe niż wewnątrz grozi niebezpieczeństwo. Wejdź na gmaszek i spojrzyj do koła, a przekonasz się, że nietylko do brodu Szreniawy, po za którą dopiero ucieczka udaćby się mogła, ale do naszej rzeczki, co tuż w nią wpada, nie doszłabyś bez spotkania zuchwałych kmieci.

Halszka poszła na górę po płaskich schodkach drabiny, Małgorzata obejrzawszy się, rzekła:

— Najpierwsza rzecz zawalić wrota, bo ztamtąd napad się rozpocznie.

Gotowe wszystko ku temu — odpowiedział Matys — i wraz z Biernatem poczęli spychać ku bramie leżące kłody sosen i dębów, pozostałe z zimy od ognisk domowych; podpierano każdą z nich kamieniami, które w miarę sił staczały z podwórza Świerkowa i Małgorzata, wkrótce też po za bramą stanął silny wał, broniący wejścia w dziedziniec, choćby nawet wrota wyłamane być miały.

Spostrzegła to powracająca z gmaszku Halszka, a na zapytanie siostry odrzekła:

— Pełno ich się wszędzie włóczy, niedziela, nie mają co robić; jużby chyba tratewką na Szreniawę popłynąć.

— Jakaś ty lękliwa, Halszko! — mówiła prawie z wyrzutem Strzemieńczykowa. — Czy myślisz, że oni się tu dobiją?

— Nie wiem, ale widzę, że i ztąd nikt już nie wyjdzie.

Stara klucznica, stojąc nieopodal, słyszała sióstr rozmowę i potrząsając głową zdawała się mieć radę gotową.

Spostrzegła to dziewica.

— Co wy na to? — spytała.

— Jabym coś rzekła — przemówiła — ale się boję — chyba że mi panie przyrzekną, że mnie nie wygnają i gniewać się na mnie nie będą.

— Którędyżby cię już wygnać, starucho? — rzekła z uśmiechem Małgorzata, — Mów co masz, zobaczymy.

— Pan Bóg święty wie, co tam się dzieje za tą siódmą rzeką i dziesiątą górą, gdzie poszli nasi panowie.

— To i cóż?

— To jeżeli ich Bóg zabrał, albo jeżeli prawda, że się tam pożenili... czegóżby ich czekać?

— A cóżby zrobić? jak ci się zdaje? — zapytała spokojnie na pozór żona Strzemieńczyka, lecz zaiskrzyły się jej oczy i różowe nozdrza kształtnego nosa rozdęły się, bo chciała hamować ogarniające ją wzburzenie. Spojrzała szybko na siostrę, lecz Halszki źrenice zatonęły w pomarszczonej twarzy klucznicy, która raz się zapędziwszy, mówiła dalej:

— Wiecie, pani moja, jakie to teraz

czasy; oto w Kościelcu Kaniowicha poszła za kmiecia, a przecież pozostała panią, jaką była; bo czyż to kmieć nie potrafi rządzić i panować, a jeszcze jak mu cała gromada pomaga? A i krewniaczka wasza z Brożycy — przecie też kmiecia żona, a pani na swoim zameczku...

— Cóż ty na to, siostro? — spytała spokojnie jeszcze Małgorzata, ale głos jej drżał i ciemna szata łalowała na bijącem sercu. Wolna jesteś, chceszże wybrać sobie obrońcę i pana z pomiędzy tych, co dopiero tu byli i wrócą niezadługo?

Halszka zakryła rękami twarz zapłonioną.

— Nie, nigdy! — zawołała stłumionym głosem; a potem rzucając się siostrze na szyję zawołała:

— Daruj, Małgosiu! Rozkazuj, mów co mam czynić, ja z tobą do śmierci. Już się teraz nie zachwieję.

— Więc odważnie, dziewczyno! rzekła młoda pani — ufajmy Bogu, On nas nie opuści. A wy, Świerkowa, jeśli trzymacie z kmieciami a nie ze mną, to wam każę do bramy przystawić drabinę i za ostrokół spuścić. Kmiecą córką i żoną jesteście, trzymajcie ze swemi.

— O, moja pani! — zawołała staruszka padając jej do kolan; o moja gołąbko! na to żem was wraz z Rzepką i macierzą waszą piastowała, by was tu w ciężkiej doli porzucić? Darujcie! strach mię zdjął, by wam się tu krzywda jaka nie stała, a kiedy grzmi, to lepiej dobrem słowem zakląć piorun co spaść może.

— A wasz piorun, to te kmiece zuchwalce — rzekła Małgorzata. — A niech tylko król z rycerstwem wróci!...

— Bogdaj dziś nasz dobry pan powrócił, jeśli mu Bóg zdrowie daje — przerwała stara; — ale co z królem, toby dopiero kmiecie głowę podnieśli, bo król za niemi już mu się rycerstwo i panowie naprzykrzyli radami.

— Zkąd to wiedzieć możesz? — zapytał Matys.

— Alboś i ty o tem nie słyszał?

— Dosyć! — zawołała Małgorzata. — Chcesz mi wiernie służyć do końca, czy iść do swoich?

— Aż do grobowej deski z wami, pani moja! i wy, panienko, wstawcie się za mną, nie wyganiajcie! A gdzież tu moi? Oprócz was, ja tu nie mam nikogo.

— Więc zgoda! — rzekła pani. — Uwarzcie nam posiłku, a obficie, bo może na to nie prędko czas znajdziecie. Wy zaś napójcie i napaście dobytek; psy nakarmić, krówkę moję ja sama jeszcze raz wydoję.

— Ja z tobą! — rzekła Halszka i na chwilę wszyscy się w wskazanych kierunkach porozchodzili.

Podczas kiedy klucznica przyrządzała obiad, panie obie poszły pooglądać wszystkie kąty domowe, bo Małgorzata, jako dobra gospodyni, ufała służbie, lecz wierzyła własnym oczom najlepiej W izbach było dość widno, bo słońce świeciło jaskrawo i blask jego przenikał przezroczyste deseczki z łuczywa, któremi okna były zabite, ale na zewnątrz nic widać nie było; na uwagę tę Halszki, siostra jej powiedziała:

— Poszukaj ostrego żelezca, można blaszki podziurawić.

Spróbowała czy podoła zasunąć okiennice, spojrzała czy na kominie są szczapy i drzazgi, weszła do pańskiej komory, gdzie jak w dniu odjazdu stało twarde łoże rycerza Mikołaja i na ścianach, po kątach, pełno było różnego oręża, a biorąc w rękę lekki oszczep myśliwski, rzekła:

— Ten mnie już nie odstąpi. Każę dwom naszym starym, by sobie tu broń dogodną wybrali: trzeba mieć oręż, by nas złe nie znalazło bezbronnemi. Czy sobie też co wybierzesz?

— Żeby być zbrojną jak wszyscy — odparła Halszka — ale widzę tu coś, co się lepiej przydać może, niż taki ciężki berdysz.

— Co naprzykład?

— Patrz, te lekkie łuki, któremi bawiłyśmy się celując do wodnych kurek nad rzeczką.

— Poczciwy Jaśko tak starannie nas uczył strzelać z nich za szczęśliwych naszych czasów! Weźmy je sobie na gmaszek; Biernat i Matys potrafią i te ciężkie naciągnąć. A teraz uzbrójmy się w najpewniejszy oręż, w broń, co nigdy nie zawodzi. — Pociągnęła Halszkę do komnatki, gdzie obie sypiały i gdzie pod drewnianym krzyżem, zwien-

czonym u stóp Chrystusa kwiatami, paliła się nieustannie lampa, ślubowana do powrotu gospodarza.

Tu obie siostry uklękły do wspólnej modlitwy, a gdy po niedługiej chwili powstały, na twarzach obu jaśniała pełna ufności pogoda, która wnet udzieliła się i reszcie Zembocińskiej załogi, gdy na głos Świerkowej zeszli się wszyscy i przy jednym stole zasiedli do spóźnionego okolicznościami obiadu.

Przez resztę dnia nie zaszło nic nowego, wchodzono na górę, rozglądając się dokoła i kolejno przynosząc wiadomości z czynionych spostrzeżeń. Ludność włości snuła się po polach, schodziła się gromadnie do tak zwanej otwartej gospody, gdzie się zwykle na gawędę i poczęstunek zbierano, kupki ludzi kierowały się do lasu, zkąd wkrótce donośne śpiewy i krzyki dochodziły nasłuchujących. Pod wieczór dopiero wszystkie te gronka poczęły się zbierać blizko dworu i nim zmrok zapadł, ścisnęły, jak w południe pod bramą. Wołano o otworzenie, dobijano się do wrót drągami, krzyczano, hałas był wielki, potem napastnicy rozłożyli się wygodnie na stoku wzgórza, słychać było śmiechy, śpiewy, rozmowy; we dworze zaś cisza była zupełna, żadne światło nie gorzało, przynajmniej od strony wchodowej. Znać jeszcze nie było stałego planu napaści, bo w jakiś czas oblegający poczęli się rozchodzić i przed północą, oprócz kilku ludzi u bramy, jakby na straży zostawionych, nie było już pod ostrokołem nikogo.

Noc przeszła spokojnie, choć na przemiany jedna z domowych osób czuwała na gmaszku, pozierając na wszystkie strony; świt zastał tam Małgorzatę, z poranną modlitwą na ustach. Po przebudzeniu się wszystkich i poleceniu dnia Boga, ze wszystkiem co w nim nastąpić mogło, odbyto krótką naradę i oczekiwano spokojnie wypadków.

Dobrze już dzień pogodny jaśniał z nieba, gdy znów ku wzgórzu, na którem nasza wznosiła się twierdza, poczęły ściągać tłumy; powtórzywszy znów żądanie otworzenia wrót naprózno, poczęto pod nie przysuwać kamienie i będące w pobliżu pniaki, by sobie wejście wierzchem ułatwić; inni próbowali wysadzić bramę drągami, ale świeże zawalenie trzymało silnie. Obleżeni widzieli te usiłowania, w górnem okienku śledzono pilnie te ruchy i dla przeszkodzenia im sypano gradem kamieni, których skuteczne działanie zwiastował od czasu do czasu krzyk lub przekleństwo. Na chwilę ustawała robota, lecz po pewnym przestanku prowadzono ją dalej i znać ze skutkiem, bo już rąk i głów dostrzedz było można; kamienie nie przestawały spadać i coraz cięższe. Matys urządził sobie tarcicę gładką, dźwigającą wię sze głazy, podczas kiedy dowcipnie nałożona belka wypychała je z siłą na zewnątrz; ale praca za bramą nie ustawała, radosne okrzyki dowodziły, że robotnicy czują się blizkimi zwycięztwa; jakoż już kilka spojrzeń ciekawych przedarło się przez wierzch, ze spojrzeniami gotowe były iść ręce i dźwigać ciała, gdy niespodziewana stanęła przeszkoda.

W powietrzu świsnęła strzała, za nią druga, trzecia i jeszcze jedna i jeszcze i jeszcze, bo nim Halszka swoją wystrzeliła, już Biernat na nowo ciężki łuk napinał i tym sposobem obroną stała się regularną i bardzo napierającym dotkliwą. Nastała przerwa, znać dotknięci potrzebowali starań towarzyszy i zapał do zdobywania bramy ochłódł z tej strony. Z dworca również przerwano strzelanie i nastąpiło pewne zawieszenie broni, którego we dworze użyto na wypoczynek i posiłek, lecz pilnowano bacznie na wszystkie strony. Okazało się to potrzebnem, bo zwolniwszy nacisk od progu, próbowano szczęścia z innych stron ostrokołu. Znać silni dźwigali lżejszych, bo znowu tu i ówdzie wystawał słomiany kapelusz między ostrymi pniakami, znów kamienie płoszyły ciekawych gości; lecz gdy obrońcy z jednej strony odporem byli zajęci, naraz patrząca z góry Świerkowa krzyknęła:

— O, dla Boga! naprzeciw lamusu!...

Tam też na ostrokole, korzystając z nieuwagi broniących, pokazało się około dziesięciu śmiałków, uczepionych rękami i gotowych skoczyć w podwórze; brakowało tylko chwili, a chociaż szybko posypały się kamienie, już nie jedna noga próbowała możliwej na jakim sęku podpory, by się na niej choć na chwilę zawiesić. Niepodobna było przypuścić, że każdy cios trafił do zamierzonego celu, gdy Małgorzata zawołała na starą:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FR. HOFFMAN.

NIE OPUSZCZAJ
KRAJU RODZINNEGO

— PRZEŁOŻYŁ —

BOLESŁAW DUNIN.

Niewypowiedzianym wdziękiem jaśnieją nadbrzeżne reńskie okolice. Obydwa brzegi tej wspaniałej rzeki nie tylko romantycznem położeniem i bujnością roślinności lecz oraz pracowitością mieszkańców odróżniają się wielce od innych okolic kraju całego. Każdy kawałek ziemi stosownie do gatunku i położenia swego ma przeznaczenie. Bo czy to role lub łąki, sady lub winnice, większe lub mniejsze osady tak prześlicznie są utrzymane, że płynąc parowcem podróżny radby bieg jego zatrzymać aby nie stracić prędko z oczu tych czarujących widoków które tak prędko za sobą zostawiać musi.

Jednego z nadreńskich mieszkańców posiadłość składała się z folwarku otoczonego kilkudziesiąt morgami dobrze uprawnej roli, młyna postawionego u brzegu rzeki, rozległej winnicy i nie wielkiego domu stojącego wśród sadu z drzew owocem bujnym pokrytego. Miał on dwóch synów którzy naturalnemi jego byli spadkobiercami. Nie chcąc jednak aby po jego śmierci jakikolwiek spór przy rozdziale ojcowizny mógł powstać, zrobił rozporządzenie majątku, i przeznaczył starszemu folwarek z rolą i młynem, młodszemu zaś dom z ogrodem i winnicą; obie połowy majątku swego uważając być równej wartości. Testament swój złożył w ręku miejscowego proboszcza, postanowiwszy go wykonawcą tej swojej ostatniej woli; a gdy nie długo po tem życie zakończył, synowie objęli każdy w posiadłość to, co mu ojciec przeznaczył, i pobłogosławieni przez kapłana, dawnego ojcowskiego przyjaciela, zabrali się do pracy każdy w przeznaczonym dla siebie wydziale.

Starszy z braci Ernest, którego ojciec po ukończeniu szkół przeznaczył do rolniczego zawodu i przy sobie na rolnika sposobił, objąwszy część swoją nic w niej nie zmieniał i gospodarstwo swoje prowadził tak samo jak to było pod rządem ojca, że się zdawać mogło że ojciec żyje jeszcze a on go tylko wyręcza w gospodarskich zajęciach jak to dawniej czynił. Z tą tylko różnicą że się przeniósł na folwark wśród ról leżący, by bliżej czuwać mógł nad swem gospodarstwem. A każdego dnia spędziwszy aż do objadu w folwarku, po południu szedł do młyna gdzie do wieczora zwykle zostawał. Tak więc wszędzie doglądając własnem okiem gospodarstwa swego, szło mu ono dobrze i przynosiło nie małe korzyści.

Młodszy Ferdynand nie wiele miał pracy w zostawionej przez ojca części. Na wiosnę tylko oczyściwszy drzewa i winnice nie miał prawie zajęcia aż do samej jesieni, to jest aż do pory zbierania dojrzałych już owoców w sadzie i winobrania w winnicy. Wtedy z całą gorliwością zająć mu się przychodziło, a dokończywszy to wszystko znowu na całą zimę aż do wiosny był wolny od prac i kłopotów gospodarskich. I wtedy to częściej przebywał w sąsiednym mieście niż w domu zajmując się spieniężeniem owoców i wina co także nie mały dochód mu przynosiło.

Wszakże przy tem zajęciu zostawało mu jeszcze nie mało czasu, który on zwykł był przepędzać na rozmowach z kupcami i podróżnymi których tak wiele zawsze w na-

dreńskich miastach bywa, gdyż Ren swoimi parostatkami tak wielką linię komunikacyjną handlowego obrotu Niemiec z całym światem stanowi.

Z najżywszą ciekawością zawsze Ferdynand przysłuchiwał się opowiadaniu podróżnych o różnych krajach osobliwie zaatlantyckich, o ich niezmiernych bogactwach gromadzonych z kopalni. Powracając z miasta do domu wszystko to kołowało mu w głowie. A widząc rozciągające się po nad Renem rozmaite zamki, pałace i wile bogaczów świata, porównywał swój stan z ich stanem w którym bez żadnej troski o byt swój codzienny używają dostatków odziedziczonych po przodkach. Taka go z tego powodu opanowała żądza stać się od razu bogatym, że żądza ta spokoju mu nie dawała. Marzył ciągle o tem jakby stać się mógł im równym, dogodzić najkapryśniejniejszym fantazyom swoim. Zaczął więc powoli zaniedbywać dom swój i odtąd dnie całe przepędzał w mieście zaznajamiając się łatwo z wszystkimi podróżnymi których mógł spotkać i słuchać opowiadania ich handlowego i przedsiębiorczego zawodu.

W jednym z hotelów miasta spotkał się pewnego razu z kapitanem statku który znaczną liczbę podróżnych miał odwieźć do Anglii, a z których większa połowa udać się miała z tamtąd do Kalifornii dla poszukiwania złota. Przejęty cały żądzą jak najprędszego zbogacenia, przysłuchiwał się ciekawie szczegółom rozmowy jakie prowadzili z sobą podróżni. Każdy z nich opowiadał powody jakie go skłaniają do opuszczania rodzinnej ziemi, nadziei jakie go ożywiały i warunków pod jakimi dał się do tego nakłonić. Jedni jechali tam jako zamówieni przez tamtejszych przedsiębiorców współpracownicy, drudzy, lecz takich daleko mniejsza liczba była, mieli na własną rękę rozpoczynać poszukiwanie tego niebezpiecznego acz bardzo ponętnego kruszcu.

Powróciwszy do domu, Ferdynand o niczem innem całą noc nie myślał, jak tylko [illegible] zgromadzić jak największy zapas pieniędzy potrzebnych dla odbycia tej odległej podróży do kraju w którym schylić się tylko potrzeba aby pełnemi garściami brać pod nogami leżące złoto. Tak ono zajęło całą jego wyobraźnię, a że w tej chwili z niechęcią patrzeć zaczął na zostawione mu przez ojca dziedzictwo do którego na nieszczęście swoje był przykuty jakby niewolnik; a choć mu ono aż nadto dostatecznem i wywystarczającem było do zaspokojenia jego potrzeb, zżymał się i narzekał na to że nie ma tyle pieniędzy ile w tej chwili na podróż mu potrzeba.

Przed świtem wyszedł znowu do miasta i udał się do przystani w której stawały zwykle statki żeglujące po Renie i tam zapytywać się zaczął o ten który do Anglii miał odchodzić chcąc się umówić z kapitanem statku by go mógł zabrać ze sobą. Przechodząc przez most widział mnóstwo podróżnych czekających chwili odpływu statku. Odszukawszy Kapitana oświadczył żądanie swoje. — Kapitan mu powiedział że już jest za późno, bo za parę godzin statek odpływa, a on jeszcze w tej chwili powiada że gotów do drogi nie jest. Usłyszawszy to Ferdynand zmartwił się bardzo, że podobna sposobność nie prędko mu się zdarzyć może statek zaś czekać na niego nie będzie gdy on kilka dni jeszcze czasu potrzebuje aby się przygotować do podróży. Kapitan widząc jego zmartwienie uspokoił go upewnieniem, że inny statek za dni czternaście w tęż samą drogą tędy przechodzić będzie to ten z pewnością zabierze go ze sobą.

Odtąd Ferdynand o niczem więcej nie myślał jak o pozbyciu się swego dziedzictwa za jaką bądź cenę i to jak najprędzej by się znowu nie spóźnić i tej nie ominąć zręczności jaka się nadarza. — Wrócił więc do domu i nie wydając się z swą myślą przed bratem, zaczął poszukiwać komu by ojcowiznę swoją mógł odprzedać.

Ernest postrzegł niezwykłe jakieś krzątanie się i gorączkową niespokojność brata; a widząc że się przed nim z myślą swoją ukrywa zabolał nad tem, przeczuwając że chyba Ferdynand coś takiego zamierza coby się mu niepodobać mogło. Zaczął więc ostrożnie śledzić, a gdy go doszło że to rzecz idzie o sprzedaż ojcowizny, zasmucił się tem bardzo że brat jego chce się pozbyć miejsca gdzie się urodził, gdzie tyle lat przemieszkali jego rodzice, gdzie obaj młodość swoją spędzili.

Choć kochał brata, nie chciał jednak czynić mu żadnych uwag, spodziewając się że go niesłucha kiedy raz postanowił to sobie; a to przykrzej by mu daleko było gdyby on jego przedstawienia nie przyjął. Poszedł więc do swego Proboszcza który będąc wieluletnim przyjacielem ich ojca i dla nich obu był życzliwy prosić go o radę co ma uczynić.

Wysłuchawszy starzec opowiadanie Ernesta także się tem zasmucił. Powiedział mu że i sam zauważył jakąś niespokojność trapiącą Ferdynanda i choć kilka razy starał się go wyrozumieć ten jednakże nie zwierzył mu się dotąd z żadną swą szczególną myślą; narzekał tylko że jest nie bogaty gdy inni nie pracując tak ciężko jak on mają daleko więcej i bez trudu opływają w dostatku i rozkoszne prowadzą życie. Nie zadziwił się więc wcale gdy mu powiedział że Ferdynand zamyśla o pozbyciu się ojcowizny.

"Tego się spodziewałem mój przyjacielu" powiedział on do Ernesta. "Radzić mu i odwodzić go od tego zamiaru jest rzecz próżna, bo on tego nie posłucha zapewne, kiedy ten swój zamiar przed nami obu ukrywa. Przeszkadzać mu w tem niepodobna bo by go to nawet przeciw tobie rozjątrzyło, a jabym tak pragnął byście z sobą zawsze byli dobrzy, niczem nie nadwerężając tego uczucia miłości i życzliwości wzajemnej, jaką wam nakazali rodzice wasi. Trzebaby coś innego wymyśleć coby nam dopomogło ocalić majątek pracą ojca waszego nabyty, a mimo to nie sprzeciwiać się Ferdynandowi którego by to przeciw tobie zniechęcić mogło. Mnie samego bardzo to boli że nie mam tyle aby nabyć od Ferdynanda tę majętność. A bardzo bym żałował gdyby kto inny się podsunął i wpół darmo od niego to nabył. "Ja sam o tem myślałem" odpowiedział Ernest na tę mowę zacnego proboszcza. "Mam ja wprawdzie zapasnego grosza tyle ile Ferdynand żąda za tę część swoją, lecz mi nie wypada z tem się odzywać by nie myślał że chcę korzystać z jego pilnej potrzeby. Dałbym mu i bez tego to co oszczędziłem sobie z mej pracy, lecz się obawiam by raz dostawszy łatwo pieniądze i straciwszy je prędko, znowu do tego samego źródła się uciekał, mając swój własny majątek który przy pracy i oszczędności na utrzymanie jego nietylko jest wystarczającym lecz nawet dostatecznym, i może daleko więcej z niego oszczędzić niż to ja mogę uczynić. Lecz wiesz co Ojcze jaka dobra myśl mi przyszła; gdybym mógł znaleść takiego któremu bym mógł zaufać, to bym dał chętnie pieniądze aby on kupił od mego brata ten majątek niby dla siebie. Wiem bowiem że brat mój prędko powróci ze swojej podróży pozbawiony grosza, zawiedziony w nadziejach; i dopiero pożałuje ojcowizny której teraz tak marnować chce. A kiedy będzie z żalem rozmyślał ze nie ma dachu nad głową swoją, wtedy powróciwszy w te strony zastanie dom niegdyś rodzicielski takim jak go zostawił. Bo nie myśl Ojcze abym majątek Ferdynanda chciał dla siebie na zawsze zatrzymać. Zwrócę mu go jak się opamięta co stracił, a przez to nauczy się cenić tę drogą ojcowiznę którą dziś zaślepiony wypuszcza z rąk swoich i bez żalu się jej pozbywa."

Stanęło więc na tem, że Proboszcz przyjąwszy pieniądze Ernesta przyrzekł mu że zakupi część Ferdynanda niby dla jednego ze swych krewnych, tymczasem spróbuje jeszcze czy mu się nie da odwieźć go od tego zamiaru.

Następnego poranku wybrał się do niego i przyszedłszy do jego domu zastał go wybierającego się w drogę. Zapytany o przyczynę powiedział mu że sprzedaje majątek i jedzie do Kalifornii zkąd w krotce powróci obciężony złotem za które kilkukroć większy zakupi majątek niżli ten co go dotychczas posiada. Proboszcz użył całej swej wymowy aby go odwieść od tego zamiaru. Gdy widział że to żadnego skutku nie przynosi i jeszcze oburza Ferdynanda, powiedział mu: "Kiedy już taka wola twoja że chcesz koniecznie pozbywać się miejsca tego które ci drogim być powinno, sprzedaj mnie lepiej niż komu innemu. Miło mi będzie przyjść tu kiedy, podumać o tylu upłynionych latach które w przyjaźni z rodzicami twemi spędziłem. A tobie mój Synu życzę wszelkiego szczęścia, a choć zdobędziesz złota wiele, to serc naszych nic ci nie zastąpi; i że zatęsknisz kiedyś za nami, za tą ziemią

na której się urodziłeś, za wszystkiem co tu zostawiasz bez żalu, pewny jestem."

Tak był zajęty umysł Ferdynanda nadzieją prędkiego zbogacenia się w Kalifornii, że nie słyszał prawie słów tych, zacnego przyjaciela rodziców swoich. Pilno mu było co prędzej dokończyć formalności prawnych dotyczących jego majątku i zabrania za niego pieniędzy. Gdy to wszystko nastąpiło, niczem innem się nie zajmował jak zebraniem do podróży, i pilnem dowiadywaniem się w sąsiedniem mieście o czasie nadejścia statku. Skoro ten czas się zbliżał, wyniósł się ze wszystkiem do miasta, i tam pozostał aż do chwili w której z wielu innymi podróżnymi którzy także oczekiwali nadejścia statku będzie się mógł puścić w drogę. Obojętnie prawie pożegnał brata i starego proboszcza którzy oba łzy mieli w oczach, pełni zadziwienia na tę obojętność Ferdynanda z jaką rozstawał się z niemi, z jaką opuszczał dom w którym się urodził i miejsca w których młodość swą przepędził.

Sprowadziwszy się do miasta dowiadywał się pilnie o podróżnych spodziewając się pomiędzy nimi znaleść takiego od któregoby mógł zaciągnąć wiadomości potrzebnych do swego przedsięwzięcia. Co dziennie prawie spędzał kilka godzin u przystani gdzie się zbierali także ci co oczekiwali przybycia statku. Niecierpliwość Ferdynanda do puszczenia się co prędzej w drogę widoczną była dla wszystkich. Pewnego razu u przystani spotkał mężczyznę który ujrzawszy go nadchodzącego zbliżył się ku niemu i pozdrowiwszy go grzecznie zapytał, czy to on jest co ma zamiar puścić się do Kalifornii. "Ja to jestem" odpowiedział Ferdynand: "lecz pozwól mi Pan zapytać się co masz za powód dowiadywania się o to? "Jestem pański ziomek, odpowiedział mężczyzna: "nazywam się Bartolli rodem z Frankfurtu; słyszałem że Pan masz zamiar odbyć podróż do Kalifornii dla poszukiwania złota. Ja tam już byłem i najlepiej mogę Pana objaśnić w tem wszystkiem co dotyczy podobnego przedsięwzięcia. Sam nawet wracam tam teraz i tylko oczekuję na statek podobnie jak Pan. Przyjemnie mi będzie mieć w Panu dobrego towarzysza podróży, a może i spólnika do mojego przedsięwzięcia. Od lat już trzech zatrudniam się poszukiwaniem złota w Kalifornii; przez ten czas kilka razy już powracałem do kraju przewożąc ogromne masy tego drogiego kruszcu który w Kalifornii pod nogami się wala i tylko schylić się należy ku ziemi aby pełnemi garściami go zabierać dla siebie bez przeszkody."

Oczy Ferdynanda zajaśniały z radością słysząc mówiącego mężczyznę. Cieszył się z tego niewymownie że natrafił przypadkiem na takiego towarzysza podróży od którego dokładne objaśnienia będzie mógł mieć co do tego przedsięwzięcia. Bojąc się zaś go utracić i chcąc się bliżej z nim zaznajomić, zaprosił go z sobą do hotelu w którym zamieszkał. Bartolli przyjął chętnie zaproszenie i natychmiast odeszli obaj z przystani. Całą drogę prowadzącą ztamtąd do miasta, rozmawiali o Kalifornii. Ferdynand chciwie opisywał pytaniami swego towarzysza o najdrobniejsze szczegóły dotyczące tego przedmiotu a ten mu dawał objaśnienia takie które podniecały jeszcze bardziej chciwość Ferdynanda. W hotelu Ferdynand rozkazał podać parę butelek wina przy którem rozmowa coraz raźniej szła. W końcu zaprzyjaźnili się oba i Ferdynand tak dalece dał się owładnąć przyjacielowi że przyrzekł mu się powodować we wszystkiem, uznajęc i wysoko ceniąc jego doświadczenie i rachując w swej myśli wszystkie korzyści jakie w przyszłości z tego stosunku oczekiwać mógł dla siebie.

Bartolli opowiedział Ferdynandowi że odkrył w Kalifornii ogromne pokłady złota o których nikt nie wie, w miejscach gdzie noga ludzka nie postała jeszcze. Że go chętnie przypuści do współnictwa z sobą w dobywaniu złota, bez żadnego z jego strony wydatku i nakładu oprócz wspólnej pracy: taką bowiem powziął dla niego życzliwość i taki niewypowiedziany ma ku niemu pociąg, że go uszczęśliwić pragnie i podzielić się z nim tem szczęściem jakie mu los zdarzył.

Ferdynand nie posiadał się z radości słysząc to wszystko co opowiadał Bartolly i dziwił się sam szczęściu swojemu co mu los zdarzył. Bartolli widząc takie usposobienie Ferdynanda postanowił nie opuścić tej zręczności aby z niej skorzystać co tyl-

ko będzie można. A kiedy Ferdynand dopytywał go szczegółowo jakie koszta ciągnie za sobą to przedsięwzięcie, Bartolli mu powiedział, że nic od niego, jak mu to już wprzody oświadczył, nie żąda. Wszakże chciałby wiedzieć z jak wielką sumą puszcza się w tę drogę? nie dla tego aby z niej cokolwiek dla siebie potrzebował, tylko po prosto dla ciekawości, czy przyjaciel jego wytrwa w zamiarach swoich i czy z niechęci się tak długą podróżą i z niej na powrót nie zechce zawrócić. Ferdynand zwierzył mu się ze wszystkiem i opowiedział że całą swą ojcowiznę sprzedał za 8 tysięcy talarów, i całą tę sumę zabrawszy w tę drogę gotów jest poświęcić ją całą na to przedsiębiorstwo które mu się stokroć wynagrodzi.

"Tak wiele na to nie potrzeba" odrzekł Bartolly "potrzebujesz tylko na koszt podróży do Kalifornii co tak wiele nie wyniesie. Z resztą jak ci już powiedziałem nakładu na dobywanie złota nie potrzeba. Będziemy go sami brali garściami i ładowali w wozy lub skrzynie w które się na miejscu opatrzyć łatwo. W najbliższem bowiem mieście są składy tego wszystkiego; przewóz także tego co uzbieramy nie będzie trudny."

Na podobnych rozmowach zeszło im ostatnich dni kilka. Ferdynand zaprosił przyjaciela aby się przeniósł do niego, gdy oba razem w tę podróż puścić się mają. Bartolly chętnie się zgodził i z nim nocował. Gdy się go pytał Ferdynand czemu swych rzeczy tu nie sprowadzi, odpowiedział mu że je ma złożone w znajomym sobie domu bliżej przystani; próżno by było sprowadzać je do miasta, gdy mu je ztamtąd bliżej i łatwiej zabrać wprost na statek. Ferdynand nie sprzeciwiał się temu. Rozkazał słudze hotelowemu aby w jego pokoju drugie urządził łóżko z pościelą dla jego przyjaciela. Odtąd już się nie rozdzielali oba.

Pewnego dnia Bartolly wybiegłszy na chwilę do miasta powrócił wkrótce z bardzo zachmurzonem obliczem; co zobaczywszy Ferdynand troskliwie pytał go o przyczynę. "Jakże się nie mam smucić" odpowiedział Bartolly "gdy ty przez swoją nieostrożność i niedoświadczenie możesz popsuć interes nasz wspólny. Wczoraj bowiem wygadałeś się o naszym zamiarze a ktoś z boku usłyszawszy to może z tego korzystać; i nim my staniemy na miejscu on nas uprzedzi i odkryte przezemnie pokłady złota zużytkuje dla siebie. W Kalifornii bowiem jest ten zwyczaj który stał się prawem, że ten co odkrył pokłady złota sam tylko z tego użytkować może, a nikt inny przeszkadzać mu w tem nie ma."

"Czyż to być może by nas kto uprzedził? gdy tylko tobie jednemu jak powiadasz miejsce to jest wiadome?"

"Może nas od tej chwili śledzić i jednocześnie z nami przybyć do tego samego miejsca i zacząć z nami spór, że to nie my, tylko on sam odkrył te pokłady złota."

"Nie wiedziałem o tem" powiedział Ferdynand "i bardzo tego żałuję. Przyrzekam ci odtąd być ostrożniejszym i z nieznajomymi wcale się nie wdawać w podobne rozmowy."

"Nie dość tego przyrzeczenia" odpowiedział Bartolly, "lecz gdy chcesz abym nie cofnął słowa mego i przypuścił cię do udziału w zbieraniu złota w odkrytem przezemnie miejscu, muszę mieć od ciebie rękojmię że nie narazisz przez gadatliwość twoją na stratę interes, tak wielki jak ten do którego jako spólnika ciebie przyjmuję."

"Wszelkie rękojmie, jakie odemnie zażądać możesz, dać ci gotów jestem, byś mnie tylko nie odrzucał od współudzielnictwa któreś mi przyobiecał. Powiedz tylko jakie chcesz zapewnienie, abyś mógł być przekonanym, że dochowam potrzebnego sekretu."

"Nie bardzo wielkiej" odpowiedział Bartolly, "Oto musisz mi złożyć czwartą część swego kapitału, z jakim puszczasz się w drogę. Lecz nie myśl abym go na cokolwiek dla siebie potrzebował. Za przybyciem na miejsce oddam ci go w zupełności nietykany. Możesz go nawet opieczętować, składając do mego pugilaresu."

Ferdynand bez najmniejszego wahania zgodził się na to, i dobywszy wszystko co miał, odliczył z tego część czwartą, to jest dwa tysiące talarów i złożył je na ręce swego przyjaciela, który tem rozweselony schował je do swej kieszeni.

"Bądź więc teraz dobrej myśli Ferdynandzie. Teraz mogę ci odkryć to miejsce,

abyś na nieprzewidziany wypadek sam do niego trafić mógł. Miejsce to leży o mil czterdzieści na wschód od San Francisco nad rzeką Rio banale u wschodnio-północnego podnóża góry Frio grande, którą zna każde dziecko w San Francisco; leży ono pod dwudziestym czwartym stopniem szerokości, a dwieście sześćdziesiątym piątym długości. Zapisz to sobie dokładnie w swojej podróżnej książce notat na wypadek gdybym umarł i sam cię na to miejsce zaprowadzić nie mógł. Wielkie mahoniowe drzewo z rozłożystemi gałęziami wskaże ci dokładnie to miejsce, od którego zacząć musisz robotę. Drugiego drzewa mahoniowego w okolicy niema Nie podobna więc się omylić. Dwie stopy pod ziemią leży pokład szczerego złota, i to w takiej ilości, że w jednym dniu sam jeden ogromny wóz naładować możesz. To jest moja własność główna, a ty jesteś jedynym człowiekiem, którego do tej tajemnicy przypuszczam, będziesz mi kiedyś za to wdzięcznym. Tymczasem daję ci pisemne poświadczenie, że przyjąłem w depozyt od ciebie dwa tysiące talarów, które w zupełności ci zwrócone zostaną, gdy będziemy na miejscu. To zapewnienie daję ci na wypadek mojej śmierci, aby natedy nikt zaprzeczyć nie mógł własności twojej u mnie w depozycie zostającej. — Zresztą mając wiele gotowych beczek złota złożonych na składzie w San Francisco, na tej ogromnej wartości, bezpieczeństwo twoich dwóch tysięcy talarów znajdziesz."

"Pocóż te wszystkie formalności mój przyjacielu! nie mówmy o tem więcej, i wyglądajmy przybycia statku."

Od tej chwili nie rozdzielali się więcej przyjaciele i byli ciągle razem. Pierwszej nocy, którą w jednym pokoju przebyć mieli, długo obaj zasnąć nie mogli. Ferdynand rozmarzony nadzieją prędkiego wzbogacenia się. Bartolly co miał na myśli i co mu zasnąć nie dawało, trudno się było domyśleć Ferdynandowi, który nie zwracał nawet uwagi na to, co tyczyło jego przyjaciela. Tak przeszła północ a obaj jeszcze nie spali. W końcu nad ranem sen skleił powieki Ferdynanda, który mocno chrapać zaczął. Bartolly kilka razy podnosił głowę ze swego łóżka, przysłuchując się niespokojnie Ferdynandowi, którego chrapanie nie ustawało. Gdy się w końcu przekonał że usnął snem twardym, ostrożnie wstał z łóżka i nie wdziewając obuwia przeszedł cicho przez pokój, zbliżył się do śpiącego i zaczął przeszukiwać wszystkie kieszenie jego sukien co leżały na krześle obok łóżka, lecz nic w nich nie było. Pewnym będąc że się z twardego snu nie przebudzi prędko, wsunął ostrożnie rękę swą pod poduszki śpiącego Ferdynanda, lecz i tam nie znalazł pugilaresu, którego widocznie chciał dostać. Wrócił więc spiesznie do swego łóżka zawiedziony w nadziejach, że mu się nie udało zabrać resztę pieniędzy, aby niemi powiększyć tę ilość, jaką już od łatwowiernego wyłudzić mu się udało.

Nazajutrz Bartolli oświadczył Ferdynandowi, że te trzy dni następne, które zostawały do nadejścia statku na który oczekiwali, musi przepędzić w mieście dla urządzenia niektórych jeszcze swoich interesów. Obiecał mu jednakże że na noc zawsze przyjdzie do hotelu. Ferdynand rozpromieniony nadzieją zgromadzenia bez trudności wiele złota w Kalifornii, nie podejrzywając wcale swego przyjaciela, któremu zaufał zupełnie, został spokojny. Bartolli przy wyjściu jak najściślejszą ostrożność zalecił Ferdynandowi, by się kto nie dowiedział o tej tajemnicy, w którym mianowicie miejscu w Kalifornii Bartolly odkrył obfite pokłady złota. Ferdynand przyrzekł mu to najchętniej, i tak się rozstali obaj przyjaciele.

Po odejściu jego, Ferdynand samotnie przepędził dzień cały w swoim pokoju, nawet do obiadu nie schodził do sali, tylko kazał go sobie przynieść do mieszkania. Wyglądał z niecierpliwością nadejścia wieczora i z nim powrotu przyjaciela swego. Jakoż zaledwie hotel oświecać zaczęto, Bartolly zjawił się, jakiś zamyślony i niby niespokojny. Zapytany przez Ferdynanda o przyczynę, powiedział mu, że chciałby już jak najprędzej doczekać się chwili odjazdu, tak mu pilno było zobaczyć złotodajne miejsce, tak jest niespokojny, aby czasem podczas nieobecności kto inny się tam nie dobrał i nie pozbawił go tej jego własności.

Ferdynand sam pałający chciwością

złota, jednakże pocieszał i zapewniał, że w mało zaludnionym kraju mającym takie ogromne przestrzenie puste, nie może być obawy, aby kto koniecznie o tem miejscu mógł się dowiedzieć i uprzedził ich. Tymczasem kazał przyrządzić smaczną wieczerzę, która była zakropioną parą butelkami dobrego wina, co im obydwom dobry przywróciło humor.

Długo w noc pogawędzili oba, nakoniec sen skleił Ferdynandowi powieki. Bartolly choć udawał śpiącego, nie spał jednakże, chcąc i tej nocy znowu spróbować szczęścia, czy mu się nie uda znaleźć pugilares z resztą Ferdynanda pieniędzmi.

Wstał więc znowu, gdy się upewnił, że Ferdynand twardo już zasnął, zbliżywszy się do łóżka śpiącego, przeszukał znowu wszystkie kieszenie w leżących obok łóżka na krześle sukniach, wsunął także rękę ostrożnie pod poduszki, lecz nadaremnie, nic nie znalazł. Zachmurzył więc czoło i zacisnąwszy pięście mruknął do siebie: "Ostrożnyś ptaszku lecz mam cię już w ręku..." i znowu cicho powrócił do swego posłania.

Nadszedł nakoniec dzień, w którym nadejść miał statek płynący do Anglii a który Ferdynand oczekiwał. Cały ten dzień oba spędzili pomiędzy mnóstwem podróżnych, którzy również przybycia statku wyglądali. Ku wieczorowi spostrzegli w dali ukazujące się nad rzeką kłęby dymu zwiastujące, że statek nadpływa. Ferdynandowi biło serce z radości, że nareszcie nadeszła chwila, w której w podróż się puści. — Towarzysz jego nie okazywał po sobie podobnej radości jaka się odbijała w całej postaci Ferdynanda; kręcił się tylko tu i owdzie pomiędzy podróżnymi, nie widać jednakże było, aby kto z podróżnych był z nim w znajomości lub w jakimkolwiek stosunku. Gdy statek stanął u portu, wysiedli z niego podróżni którzy w mieście nocować mieli. Kapitan statku zapowiedział głośno wszystkim, że statek w dzień jutrzejszy koło południa odpływa, wszyscy więc, tak ci których wiózł z sobą, jako też i nowi podróżni, którzy ztąd zabrać się mają, powinni zawczasu jutro tu przybyć, gdyż statek ani chwili nad oznaczoną godzinę nie zatrzyma się.

Rozeszli się więc wszyscy podróżni do miasta. Ferdynand i Bartolly odeszli także. W powrocie oświadczył Bartolly Ferdynandowi, że tę noc ostatnią nie będzie u niego nocował; ma bowiem potrzebę dłużej pozostać w mieście dla swoich interesów, a nazajutrz rano odesławszy wprost na statek swoje rzeczy, przyjdzie do niego na śniadanie i oba razem pójdą do przystani. — Musiał Ferdynand na to pozwolić, chociażby był wolał nie rozdzielać się z przyjacielem, który wiedział tajemne miejsce kopalni złota w Kalifornii. Odszedł więc sam do hotelu i cały wieczór rozmyślał nad tem, coby sam począł wtedy, gdyby się jutro Bartolly nie pokazał więcej, jego pieniądze przepaść by mogły i on do tego miejsca, pomimo ogólnego opisu jaki mu dał Bartolly, trafić by nie mógł.

Mało co spał przez noc całą, tak go ta niespokojność trafiła. Od świtu był już na nogach i wyglądał przez okno na ulice, czy gdzie nie ujrzy idącego towarzysza swego. Nie kazał nawet poddać sobie rannego śniadania, choć już było po dziewiątej; gdy w tem wszedł Bartolli z wesołą miną oświadczywszy Ferdynandowi że dla tego, tak się spóźnił że długo go zajęło nadanie na statek swojego pakunku. Wypili więc razem kawę, i natychmiast opłaciwszy Ferdynand w hotelu za siebie i towarzysza, kazał słudze hotelowemu zabrać swój pakunek i udali się wszyscy do przystani. Nie zabawiło długo nadanie pakunku Ferdynanda na statek i opłacenie z góry kosztów podróży aż do Portsmouth zkąd osobny statek do Kalifornii miał zabrać podróżnych.

Już było po jedenastej. Pierwszy raz uderzył dzwonek na statku, dając znać o gotowości do odpłynienia. Podróżni wszyscy byli już na pokładzie a jeszcze znoszono resztę pakunków podróżnych na statek; w tem Bartolly uderzywszy się w głowę, powiedział do Ferdynanda: "O to szczęście żem się rozpatrzył; zapomniałej o małej jednej skrzyneczce, która nie była pomiędzy moim pakunkiem co go już oddałem na statek jeszcze rano — była ona u gospodarza któremu ją oddałem do schowania, a zabierając rzeczy moje, o niej zapomniałem zupełnie. Muszę biegnąć natychmiast aby ją odebrać."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

UFNOŚĆ BEZ GRANIC

PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE W JEDNYM AKCIE.

— NAPISAŁ —

LEON KAPLIŃSKI.

OSOBY:

ROMAN.
ANNA, jego żona.
RODRYG.
SŁUŻĄCY.

(Rzecz dzieje się w mieście.)

(Pora wieczorna. — Scena przedstawia salon, z którego jedne drzwi prowadzą do pokoju Romana, drugie do pokoju Anny. — Roman wychodzi od siebie, trzymając w ręku poszyt Revue des deux Mondes i stuka do drzwi żony.)

Roman.

Czy można?

Anna *(za drzwiami.)*

Zaraz kończę się ubierać i wychodzę za chwilę.

Roman.

O nie spiesz się wcale, mogę ci i przez drzwi zrobić moje przedstawienie.

Anna.

Jakie przedstawienie?

Roman.

Wszak jeśli się nie mylę, to umówiłaś się z ciotką, aby pojechać na dzisiejszy wieczór do Dziedzickich.

Anna *(zawsze ze swego pokoju.)*

Ale bynajmniej — wcale się z nią o to nie umawiałam.

Roman.

A!... bo wystaw sobie, ja się czuję tak jakoś źle usposobiony i żadną miarą nie mogę ci towarzyszyć na ten niefortunny wieczór.

Anna *(wchodzi rapłownie w stroju balowym, kończąc zapinać bransoletkę:)*

Żartujesz sobie, mój kochany Romanie! — doprawdy, tym razem nie pozwolę na to. Powiedzianoby, żeś od pewnego czasu wziął sobie za zasadę, aby niegrzeczności robić w kole naszych najbliższych znajomych. Proszą nas na obiad do Państwa Adamów, wysyłasz mnie nań i sam nie przychodzisz. W Białowoli, gdzie dla nas tacy grzeczni i uprzedzający — noga twoja jeszcze nie postała. Romijam, już, że co poniedziałek obiecujesz pójść ze mną do prezesostwa i że jeszcze ani jednego poniedziałku nie miałam szczęścia być tam w twojem towarzystwie...

Roman.

Ale moja Anno, ten raz tylko..

Anna.

Nie, nie mój drogi. Zresztą będę z tobą szczera – tu nietylko o względy towarzyskie chodzi, ale chodzi też trochę o moją własną przyjemność a nawet i o moje osobiste dobro. Być może, że są kobiety, którym to dogadza, gdy się mogą puszczać w świat bez mężów, ale co do mnie, to mam ci honor oświadczyć, że rola samotnej, opuszczonej, choćby wielce interesującej małżonki, wcale mi do gustu nie przypada. Nie masz wyobrażenia na jakie rozdraźnienie nerwów jestem za każdym razem wystawiona, gdy przy wejściu do któregokolwiek z naszych salonów posypią mi się w uszy za-

pytania. — A gdzież to P. Roman? — Czy mąż Pani cierpiący? — Czy mąż Pani tak bardzo zajęty?... Ta odwieczna Księżna Teresa czatuje na mnie wszędzie ze swym odwiecznym i niezmieniającym się nigdy frazesem: *Et ce cher Comte il n'est donc jamais visible?* Wreszcie Pani Laura, która także bez męża przez świat się przesuwa, tylko że z innych jak ja powodów.. ta Laura, której żadną miarą znieść nie mogę, coraz milej się do mnie od pewnego czasu uśmiecha, z coraz większem spółczuciem za rękę mnie ściska, jakby mi poznać dawała, że ona lepiej jak ktokolwiek położenie moje rozumie.

Roman *(wzruszając ramionami.)*

Cóż cię to wszystko obchodzić może!

Anna.

To wszystko zaczyna mnie w nieopisany sposób drażnić i nudzić, a temu wszystkiemu tylko ty koniec położysz, jeśli zechcesz być taki miły, taki kochany, jak to kiedyś, kiedyś bywało, i zwłaszcza jeśli towarzyszyć mi będziesz na dzisiejszy wieczór.

Roman.

Ale moja najłaskawsza, ukochana i gorąco kąpana Anno. Wierzaj, że jeśli ci na ten wieczór nie towarzyszę, to nie przez żaden kaprys, ale dla tego, że mam swoje powody.

Anna.

Ciekawam, jakie powody? proszę, powiedz mi choć jeden?

Roman *(nieco zakłopotany.)*

Są w życiu ludzkiem chwile...

Anna *(przerywając.)*

W których rozsądni i prawdomówni ludzie uciekają się do lichych wykrętów i dziecinnych figli, aby zakryć swoją złą wolę.

Roman.

Przysięgam ci, że żadnej złej woli nie mam, ale mam po prostu wielką ochotę zostać dzisiejszy wieczór w domu. Nie wystawisz sobie moja Anno, ile mi nudów i kłopotów sprowadza ten nieszczęśliwy proces z Heimbergiem...

Anna.

Zawsze tylko słyszę o tym procesie!

Roman.

Ale na miłość boską bądźże sprawiedliwą... Zaledwie oto powróciłem z sejmu; jeszcze mi ciężą na umyśle wszystkie kadastry, serwituty, rezolucye, propinacye i drogi krajowe, o jakich się przez dwa miesiące nasłuchałem, aż oto spada mi na głowę ten nieszczęśliwy proces. Siedzę już trzeci dzień pogrążony w zapleśniałych aktach i papierach sądowych! Dla rozrywki — niechaj ci Pan Bóg tego niepamięta — namówiłaś mnie na obiad do cioci kasztelanowej, gdzie mówiąc między nami, wcale zabawnie nie jest, gdzie panuje pewna atmosfera wilgoci i nudów, dająca człowiekowi katar moralny... Nie mam pięciu minut wolnych, żeby cośkolwiek dla własnej przyjemności lub pożytku przeczytać.. Zaprawdę, należy mi się w końcu małe na dzisiaj wytchnienie! Dorwałem się właśnie do ostatnich poszytów Revue des deux Mondes, gdzie jest bardzo interesujący artykuł polityczny Klaczki i bardzo ładny romans Pani Sand. Czytam jednocześnie jeden i drugi. Skoro cynizm i przewrotność Bismarcka zbytecznie mnie oburzą, orzeźwiam się sielankowością G. Sanda, a gdy śród czułych pasterek francuzkiego romansopisarza zatęsknię do wilków i niedźwiedzi, to przeskakuję kilkanaście kart i powracam do polityki pruskiej. Tak przeplatana literatura bardzo mi do smaku przypadła — więc błagam cię, pozwól mi swobodnie zostać z moją *Revue* w domu.

Anna.

Dzieciństwa mi prawisz mój Romanie, a nie myśl bynajmniej, że jesteś oryginalnym. Wszyscy polscy czytelnicy umieją czytać w ten sam co ty sposób, i wszyscy Polacy mają zwyczaj mieszać politykę z romansami.

Roman *(który już chciał odchodzić.)*

Ta uwaga zaszczyt ci przynosi i możnaby dodać, że nasza polska polityka...

(Ciąg dalszy nastąpi.)